

Hryniewicka_Lucyna_AW_I_0260

Hryniewicka_Lucyna_I-0260-1A [00:00:00, od początku]

Mieczysław Dec: Relacja Lucyny Hryniewickiej, Lublin 24 lutego 1990 roku.

Lucyna Hryniewiecka: Nazywam się Lucyna Hryniewicka. Urodziłam się 19 listopada 1918 roku w Cykołowie. Jest to Rosja carska. Obszar Rosji carskiej. Rodzice po rewolucji byli tam przed rewolucją, wrócili do Polski i zamieszkaliśmy w Bielsku Podlaskim. Miasto powiatowe, województwo białostockie. Tam kończyłam gimnazjum ogólnokształcące, bo to się nazywało gimnazjum, nie liceum tak jak dzisiaj. I po skończeniu wstąpiłam na Uniwersytet Batorego w Wilnie i miałam rok studiów. W 1939 roku, kiedy wybuchła wojna jeszcze do Wilna dotarłam. Liczyliśmy na to, że uniwersytet będzie czynny i będzie można dalej studiować. Ale wojska radzieckie tam wkroczyły i utworzono już Litwy, zajęto już jako Republikę Litewską. Trzeba było wracać do domu. W grudniu, 24 grudnia w dzień wigilijny aresztowano ojca. Po prostu od stołu wigilijnego. Ojciec ze trzy tygodnie... Był kolejjarzem. Ze trzy tygodnie siedział w więzieniu, zarzucano, że ukrywa synów, którzy byli oficerami wojska polskiego. Mama przedstawiła karty pocztowe, które szły ze z Moskwy. Bracia byli już za granicą i na tej podstawie ojca wypuszczono. Wypuszczono po paru tygodniach. Sąsiedzi, znajomi, rodzina radzili przedostawać się do Gubernatorstwa, że nie dadzą nam spokoju. Ale mówił: *Jak umierać to na własnym progu*. Własny próg okazał się na Syberii w północnym Kazachstanie, obłaść Pietropawłowsk, rejon Smiernowo, Zielona Strachanka, kolchoz sawiet.

13 kwietnia 1940 roku nad ranem przyszli żołnierze sowieccy z podwodą, podwoda stała koło domu. Dom był otoczony i wkroczyli do mieszkania. Ojciec był na służbie. Miał dyżur, a mama wczesnym rankiem poszła do dentysty, bo tam trzeba było zajmować kolejki i trzeba było wcześniej być. Także ja sama jedna byłam w mieszkaniu ze staruszką babcią liczącą 102 lata. Zaczęło się od zapytania, gdzie są rodzice. Wtedy któryś tam z żołnierzy poszedł po ojca na dworzec kolejowy, to tutaj zapowiedzieli rewizję. Na to ja powiedziałam, że rewizja już była. Wtedy, kiedy ojca aresztowali w grudniu. No to usłyszałam: *Mauczy, niczewo nie gawari*. I rozpoczęła się rewizja. Przyszedł ojciec i już powiedział, że stoją wagony podstawione na dworcu, że już dużo ludzi jest załadowanych, będzie wyjazd. I po pewnym czasie też przyszła mama. To już my chyba ostatni byliśmy na ładowaniu do wagonów. Matka miała na tyle przytomności umysłu, że sporo rzeczy zabrała, chociaż do pakowania się było tylko 20 minut czasu.

[00:05:00]

...Pociąg ruszył wieczorem. Modliliśmy się głośno i jechaliśmy na Wołkowiesk. Po drodze doczepiane były wagony, także cały szalun, trudno mi powiedzieć, ile liczył wagonów, ale to był bardzo, bardzo długi pociąg. Na granicy polsko-radzieckiej za Baranowiczami pozwolono nam, o tyle, o ile niektórym wysiąść, dzieci szczególnie małe, mogły wysiąść i przyładowanie nastąpiło na szeroki tor. Kazano wyrzucić kartofle, bo ci, którzy byli ze wsi, to pozabierali ze sobą ziemniaki. Więc, że to zaraza jakaś ziemniaczana na tych ziemniakach jest. Musieli to wszystko zostawić i ruszyliśmy już dalej na wschód. Ural przejeżdżaliśmy w nocy. Moja mama zawsze umiała troszkę żartować, mówi: *No widzisz, wiozq ciebie na rodin, bo tutaj się urodziłaś*. Po dwóch tygodniach podróży przybyliśmy do miejscowości, do stacji Smiernowo. W czasie podróży dostarczano nam kiepiatok, czasami zupy w wiadrze i na terenach już Rosji można było jednak poprosić straż, pozwalali wysiąść, kupić od kobiet, które przy stołach tam na dworcu sprzedawały jajka na twardo gotowane, czy jakieś mleko, czy też chleb. Ponieważ kuzynka jechała z małą dziewczynką, z córeczką swoją dwuletnią, więc ja miałam to szczęście, że jakoś najszybciej mogłam się wydostać z tego wagonu i coś tam kupić jeszcze do jedzenia. Wyładowali nas w Smiernowie i tutaj tak można powiedzieć jak niewolników sprzedawali, tylko bez pieniędzy, bo przyjeżdżali przedstawiciele kołchozów, sowchozów z podwodami, z samochodami. I dobierali sobie siłę roboczą. Tata mój przezorny chodził dowiadywał się, czy kołchoz ma młyn, czy jest rzeka blisko, jakie są warunki i w ten sposób zdecydowaliśmy zakwaterować się w tym posiołku Astrachanka. Dowieziono nas samochodami. Jest to obszar lasu stepu. Step i kołki lasów, oni to nazywają kołkami laski brzozone o niewielkim zasięgu. Później znowu step i znowu taka kępa dość duża powiedzmy lasów. I to było wielkie szczęście, że byliśmy w tej okolicy, bo można było mieć opał, z suchostaju pozwalali. Mogliśmy później sadzić ziemniaki, zaraz powiem, gdzie to się odbywało. No i znaleźliśmy pracę właśnie w leschozie, gospodarstwo leśne. Sadziliśmy im sosenki. I ładnych kilkanaście hektarów. Później pieliliśmy to, pierepółka tak zwana. A wyjeżdżając już po pięciu latach sosny nasze były wyższe od nas. W zimę była zagatowka drow, to znaczy ścinanie drzew, tych brzozowych, bo to brzozy przeważnie. I wywożenie na wołach, bykach jak tam się nazywało poganiając ich copcywe, do stacji Smiernowo.

Przyjechaliśmy 29 kwietnia i załadowali nas do tak zwanego klubu, to taka świetlica, wszyscyśmy się tam pomieścili na podłodze. I powiedzieli nam, że musimy sobie szukać mieszkania.

[00:10:00]

A później już dowiedzieliśmy się od mieszkańców, bo siłą rzeczy zaczęliśmy później rozmawiać i ludzie zresztą życzliwi byli dla nas, że przed naszym wyjazdem był zorganizowany meeting i miejscową ludność poinformowano, że tutaj przyjadą burżuje, pamieszczyki, wy ich nie żałujcie, oni mają pełne kieszenie pieniędzy, muszą wam za wszystko płacić i tak dalej i dalej. Na pierwszego maja musieliśmy już ten klub opuścić, a więc rozeszliśmy się po wiosce szukając lokum. Nam przypadło lokum u pocztyliona, że tak powiem, doręczyciela listów Korolenko się nazywał, bez jednej nogi. Nogę stracił w pierwszej wojnie światowej, był człowiekiem powiedzmy wielce rozgarniętym niż inni kołchoźnicy, bo był w niewoli niemieckiej, oni mu nawet protezę zrobili. Także można było z nim o wszystkim porozmawiać. I zaczęło się życie inne, niżeli w Polsce. Początkowo zaczęliśmy pracować w kołchozie, ale zobaczyliśmy, że to niewiele nam daje, bo rozrachunek będzie dopiero jesienią i będziemy mogli dostać zboże, czy coś w naturze, nie w pieniądzech. I wtedy zaczęliśmy właśnie, dowiedzieliśmy się, że jest ten leschoz i tam przenieśliśmy się. Dobrze było, bo nasz gospodarz Korolenko miał dwa pokoiki powiedzmy, także nam jeden oddał do dyspozycji, a sam z żoną, nie miał dzieci, w drugim. Ale zawsze człowiek chce mieć pewną swobodę i dlatego trafiło się nam kupienie ziemlanki. To jak ziemianka, trochę w ziemi, trochę na powierzchni, z plastry darnina, krojona w takie plastry i układana ściany i obmazywana jeszcze tak zwanym kiziakiem. A więc glina, z łajnem krowim, z kiziakiem, bo to jest kiziak, oni to nazywają. I trzeba było to w każde lato i podłoga takie klepisko, i każdego roku latem trzeba było obmazać i dach i ściany tej ziemianki.

Do rozpoczęcia wojny, do czterdziestego pierwszego roku, kiedy rozpoczęła się wojna, kiedy Niemcy ruszyli na związek radziecki, to jeszcze pieniądz miał wartość jakąś, no myśmy wymieniali, to co mieliśmy, to nie wystarczało zarobków, trzeba było coś jeszcze wymienić. Szły jeszcze paczki do tego momentu, do czerwca czterdziestego pierwszego roku tutaj z białostoczczyzny przysyłane nam. Później się kontakt urwał, już trzeba było liczyć, tylko na własne siły. I dlatego przenieśliśmy się do tego leschozu do pracy, bo były pieniądze, potem był tak zwany paliok, to znaczy otrzymywaliśmy czy mąkę, czy też pszenicę, którą na żarnach mieliło się. Sól, cukru, to nie widzieliśmy, ale sól, nafta była przydzielana, także to odgrywało pewną rolę. A zarobek wyglądał w ten sposób pieniężny jak już rozpoczęła się wojna, że za cały miesięczny zarobek można było kupić niecały kilogram masła, taka mniej więcej relacja była. Ale natomiast na tym stepie, przy tych okolkach leśnych oni oborywali ten las, żeby się nie palił, bo step często się pali i wtedy zagraża las, może też spalić się. Więc oni oborywali i

pozwolił nam ten preśdaciel tego leschoza pozwolił nam na tych zaoranych częściach sadzić ziemniaki, więc rozbijano się łopatą, tym darninę i sadziliśmy ziemniaki.

[00:15:00]

No i to była podstawa zasadnicza naszego życia, bo wystarczy powiedzieć, że jak nas było czworo dorosłych i dziecko, to myśmy zjadali od ziemniaków do ziemniaków, to nam wystarczało dwieście wiader, to można przeliczyć, ile to było, ale to się dodawało do mąki, chleb mama piekła właśnie dodając ziemniaki, wiosną chodziło się zbierać ziarna, ziarno jęczmienia, bo tam jest taki zwyczaj, że mogą zasiać całe pole, wszystko uprawić jak należy, a później nie zdążą jesienią zebrać, bo wcześniej mróz, więc wtedy ziarno, nasiona, nawet jak przejdzie, to strąca kłosy, ale kłosów nie wolno było zbierać, także trzeba było po kryjomu gdzieś tam okrężną drogą, żeby nikt nie widział, żeby te kłosy można było zbierać. Muszę zaznaczyć, że nie tylko Polacy byli w tej okolicy, gdzie myśmy byli. Mianowicie przywieźli trudno mi już powiedzieć w czterdziestym drugim, wtedy kiedy Niemcy zbliżali się już do Moskwy i Wołogrodu, to wtedy przywieźli z Kaukazu, Inguszów, Czeczenów, a przedtem jeszcze Niemców z powozila, znad Wołgi. Ci Niemcy nie bardzo nawet znali język niemiecki, mówili jakąś gwarą, ale czuli się Niemcami. Jednym słowem to była wieża Babel, my Polacy, później Ukraińcy, następnie Ingusze, Czeczeni, Niemcy, to wszystko razem tu się gromadziło. Muszę powiedzieć, że powiedziałam jeszcze o tych laskach i kartoflach, ale warto dodać jaką rolę ten las spełniał. Mało, że drzewo na opał, bo tam gdzie tylko i wyłącznie step, to było jeszcze gorzej. Na opał, a prócz tego na stepie wokół tych lasów rosły klubnika, to jest dzika truskawka. Więc latem zbieraliśmy, to też nam było jakieś uzupełnienie naszego wyżywienia. I co drugi rok w tych lasach były grzyby. I o dziwo tamtejsza ludność wcale grzybów nie zbierała, to były grzyby prawdziwe i były gruździe. To coś w rodzaju naszych rydzów, tylko białe, zupełnie białe. Gruździe soliliśmy na zimy, i później z kartoflami troszkę śmietany, z kartoflami można było zjadać. A te suszyliśmy czego Rosjanie tamtejsi wcale nie znali. Warto wspomnieć, że blisko nas były kołchozy polskie, Polaków. Oni siebie nazywali dębowymi polakami, oni byli przywiezieni tam po roku trzydziestym, trzydziestym pierwszym, piątym. Sąsiadką naszą, bo nasz ziemiłanka była tak jak to dzisiaj są te bliźniaki, które w Polsce się buduje, to też dwie ściany, ściana była drugiej ziemiłanki. Sąsiadami zresztą, którzy nam bardzo wiele pomogli i uświadamiali nas w tym życiu codziennym – nazwisko Korotowscy. Parekselans, nazwisko polskie, ale oni się Polakami nie czuli. Może gdzieś tam powstańców rodziny, jakieś bardzo, bardzo, ale nazwisko ładnie brzmiące i czysto po polsku.

Jeżeli chodzi o święta. Święta były zawsze kontynuowane, księży nie mieliśmy. Latem czasem chodziliśmy gromadą do lasu i modliliśmy się wspólnie. Polacy przychodzili czasami przez śnieg, buran, bo śnieżyce duże...

[00:20:00]

...i mrozy dochodziły do 35 stopni w zimie. Ale młodzi chłopcy, którzy byli tam w innych rodzinach przychodzili pod okno i śpiewali kolędy, zapraszało się, czym tam się można było podzielić, czy kartoflem, czy jakąś lepioszką, to się wspólnie łamało i kolędy też w ziemlance się śpiewało.

Kiedy wybuchła wojna z Niemcami, czyli Niemcy ruszyli na Związek Radziecki, mężczyźni zabrano, to znaczy zostały same kobiety. Wtedy zorganizowano tam w tym posiołku tak zwany promkombinat, to jest chałupnictwo mówiąc naszym językiem. Więc wyrabiane były jakieś z puszek, konserw, znaczy puszki po konserwach, jakieś popielniczki. Później kobiety, wełnę dostarczano, kobiety rękawiczki do wojska wiązały, szaliki. I niby istniał jeszcze tak zwany pimokatny cech, no i ja już znając język rosyjski, już nienajgorzej go znałam w mowie potocznej stałam się kierownikiem pimokatnowo cecha. Piny to są nasze walonki. Walonki, tylko nie noszone z kaloszami. Bo u nas w Polsce nosi się z kaloszami, a tam tak się je sporządza, że chodzi się, bo zima już jak zacznie się, to tam nie ma odwilży tak jak u nas. Już trzyma do miesiąca gdzieś w początkach kwietnia. Pracownia tych pinów, więc przywozili wełny. Wełna już była maszyna do czesania, poza tym później były tam Rosjanki, specjalistki.

Hryniewicka_Lucyna_I-0260-1B

[00:00:00]

Tę formę takimi płastami tej rozczesanej wełny okłada się i później woda gorąca, w niej kwas siarczany, chyba, jeśli się nie mylę odpowiednio obstukuje się tę formę. No i sporządza się taki but z tej wełny. To są piny. Ja byłam kierowniczką tego pimokatnowo cecha. Ponieważ skład tej wełny był bliźniutko można było otworzyć drzwi, para z tego kotła tam naszła. Wełna troszkę nasiąkła wodą, więc mogła czasami tej wełny nie tylko dla siebie, ale dla innych Polaków też wynieść i zaopatrzyć, też skarpety sobie robili na zimę. I tak do końca już tego pobytu tam byłam właśnie tym kierownikiem pimokatnowo cecha.

Jeśli chodzi o pomoc lekarką, czy powiedzmy służbę zdrowia my mieliśmy w tym kołchozie, w tym posiołku mieliśmy felczera. Stary felczer, starej daty znający się na rzeczy, także przychodził nam z pomocą i najważniejsze, że prenumerował gazety, więc mogliśmy dostać u niego „Prawdę”, czy „Izwestia” i poczytać, co się dzieje na świecie. Więc nas uważano za administracyjno-zsylnych, kiedy nastąpiła umowa z rządem generała Sikorskiego, to była taka pewna ulga powiedzmy, bo w pierwszych początkach, to nas często sprawdzano i to w nocy. Puk, puk w okno. *Poliaki w kantoru*. I musieliśmy wszyscy iść i tylko po to, żeby sprawdzić, czy wszyscy jesteśmy, czy gdzieś ktoś nie oddalił się z tego posiołku. Później już tych sprawdzeń nie było, już mogliśmy sobie do rejonu 12 kilometrów pójść pieszo i do tych kołchozów z Polakami tam kupowaliśmy pszenicę, ale to wszędzie chodziło się pieszo. 40 kilometrów do przebycia, to nie było takie znowu trudne w ciągu jednego dnia. Ale człowiek był wtedy młody.

Kiedy była już umowa z rządem generała Sikorskiego i kiedy następowało organizowanie wojsk Andersa w Jangjunu, wtedy zostały zorganizowane tak zwane delegatury i mężowie zaufania. Główna delegatura była u nas w Pietropawłowsku, a w poszczególnych tych rejonach byli delegaci i otrzymywaliśmy wtedy już, to był rok chyba czterdziesty trzeci, to już otrzymywaliśmy pomoc. Trochę mąki, koce jakieś kobiety sobie szyły z tego, spódnice. Następnie cukier, trochę tam tego cukru, kawy nawet ziarnistą zieloną, jakieś ubrania, też tak samo przychodziły, więc to już była taka dość podatna i wyraźna pomoc. A kiedy już wojsko wyemigrowało, to wtedy kazali nam przyjąć obywatelstwo radzieckie. Nie wszyscy się na to godzili. My na przykład tego obywatelstwa nie przyjęliśmy, dlatego, że mieliśmy... Była lekarka z Anglii znajoma, która tu przyjechała i ona przysłała nam tak zwane zapotrzebowanie. Ale poszłam z ojcem do Pietropawłowska i już nie można było. Po prostu nie radzili jechać do Jangjunu na południe, bo nasze wojska wychodziły. I my na tej zasadzie stale pokazywaliśmy im, że my mieliśmy wezwanie i waszych papierów nie przyjęliśmy.

[00:05:00]

I tak jakoś utrzymaliśmy się specjalnie nas. A były wypadki, że tym, którzy nie chcieli przyjąć, nie mieli żadnego, jakiegoś uzasadnienia, to do więzienia zabierali. Zbliża się rok czterdziesty piąty, bo myśmy wrócili na własny koszt. Ja miałam koleżankę w Moskwie, która były starania, bo tutaj już bo już czterdziesty czwarty, już Lublin i tutaj te tereny i białostockizna już, więc rodzina się starała i przesłali przez Moskwę, to koleżanka troszeczkę szybciej tam podepchnęła sprawę. I w czerwcu czterdziestego piątego roku myśmy

otrzymali ten wyzyw i mogliśmy wracać, ale już na własny koszt. A wszyscy inni wrócili po nas po roku w czterdziestym szóstym roku. Także 5 lat i dobre dwa miesiące tam trzeba było odbyć.

Powrót nastąpił w czerwcu, czterdziestego piątego roku. Także pod koniec czerwca przyjechaliśmy, jechaliśmy na własny koszt. Mieliśmy oczywiście wszystkie papiery, pozwolenie do Moskwy, a z Moskwy już pociągiem bezpośrednim Moskwa-Berlin. Byliśmy chyba jedną rodziną w tym pociągu, bo w Moskwie zatrzymaliśmy się parę dni i win turyści wykupiłam bilety już bezpośrednio tutaj do granicy do Brześcia, za Brześciem Wysokie Litewskie, tam wysiadaliśmy. W Moskwie może powiem o takim dziwnym spotkaniu. Na dworcu białoruskim wysiadam, ruchome schody, wysiadam do góry i spotykam swego kolegę szkolnego, który skończył ze mną gimnazjum w sowieckim mundurze, w sowieckiej czapce wojskowej, wojskowy sowiecki, poznał oczywiście mnie a ja jego. I później jechał z nami do Hajnówki, do rodziny i pytam się: *To co Szurka?* Bo to był prawosławny. To były tereny specyficzne, Podlasie, tam było dużo Białorusinów, i pytam się, no to cóż może... Jedzie matkę odwiedzić. Mówię, to może zostaniesz w Polsce. – *Nie, dla mnie drogi już do Polski nie ma.* W Polsce skończył szkołę, skończył gimnazjum, był na politechnice, polski chleb jadł. *Dla mnie do Polski nie ma powrotu.* I rzeczywiście nie wrócił. My natomiast na dworcu białoruskim nocowaliśmy, ja u tej koleżanki w ambasadzie. Widziałam naszą ambasadę, widziałam sklepy dla ambasady, że wszystko mogli kupić i to w takiej ilości, że mogli jeszcze na czarnym rynku sprzedać. I jak zastawiła stół z konserwami rybnymi, z szyneczką, ze wszystkim, to nie wiedziałam jak przy tym stole usiąść w porównaniu z naszą Astrachanką. A na dworcu białoruskim chodziły szczury tak jak koty olbrzymie. Mówiła nam sprzątaczką, że wraz z frontem te gryzonie podążały naprzód od frontu i ponieważ tam były jakieś przybudówki, to one się dostawały do sali, do sali, która była na piętrze. I takie szczury olbrzymie widziałam na własne oczy. One nie były tępione. My przyjechaliśmy do Czeremchy i z Czeremchy już końmi, niewiele tych rzeczy było, ale jakaś walizka była, wróciliśmy do Bielska, dom był nasz zajęty. Wsie były spalone niektóre i zza linii Curzona ludzie, także w naszym mieszkaniu mieszkało chyba 20 osób. Kiedy poszłam z ojcem...

[00:10:00]

...do burmistrza, powiedzmy miasta. I mój ojczysko mówi, że byliśmy wywiezieni, a teraz nie możemy być w swoim domu, że zajęty. A byliśmy wywiezieni do Rosji. – *No jak byliście wywiezieni, to było za co.* Taką otrzymaliśmy odpowiedź.

Więc rodzicie moi Maria Zychętlów Hryniewicka urodzona 1886, już w tej chwili nie żyje. Ojciec Hipolit Hryniewicki urodzony 1880 roku, też nie żyje. Była z nami kuzynka, siostra cioteczna Halina Konopska, lekarz stomatolog z córeczką Ewunią, która w tej chwili jest lekarzem neurologiem. Po drugim stopniu, a wyjeżdżała jako malutka dziewczyneczka. Ciekawe właśnie, może tutaj przy okazji opowiem jak tam nas sprawdzali tak w nocy, wołali do tej kantory, to zawód zawsze, imię, nazwisko, zawód. No więc moja ta siostra cioteczna mówi: *Zubnoj wracz*. A NKWD-zistwa mówi: *Ciebie koniusznu czyścić, a nie zuby dziergać*. A ona mówi: *Ja sumieju koniusznu wyczyścić. A wy sumiejecie zuby dziergać?* No i zamilkł. *Mauczy*. Krzyczał: *Mauczy*. A później proponowano, kiedy była już umowa z rządem generała Sikorskiego, to owszem jej proponowano gabinet, ale poza Astrachanką trzeba było wyjechać, ale po prostu troszkę obawiała się z tego względu, że nie wiadomo jak wyposażenie, nie daj Boże coś się stanie, jakieś wrywanie zęba, krwotok, czy coś, mogą powiedzieć, że zaraz sabotaż, także z tym się bardzo liczyliśmy, ale muszę dodać, że zarabialiśmy oprócz tej pracy takiej urzędowej, to zarabialiśmy jeszcze w inny sposób, bo mamusia wróżyła. Nie wiem skąd umiała wróżyć. Ale wróżyła. A ojciec był parykmacherem, to znaczy golił, strzygł kogo potrzeba, bo miał ze sobą narzędzia i w ten sposób zawsze jakaś miseczka kaszy, ze 2 jajka na tym, tak to płacili ludzie. Kto jeszcze z rodziny? To była właśnie ta Lodzia Narbutowa, która żyje jeszcze, ale ona była w innej miejscowości z dwoma chłopakami, żyją synowie. Poza żona wicestarosty pani Rodziewiczowa była z nami, z córką Basią i z synem Jurkiem, ale Jurek jest w Anglii, Basia w Australii, pani Rodziewiczowa nie żyje. Guzowska, to żona policjanta z dziećmi, i Ligol-Myśliwska też tak samo był z dziećmi. Krukowska z dziećmi, to już cała rodzina nie żyje. Z Wołkowyska, spod Wołkowyska był taki sołtys Dubowy pamiętam. Nie wiem, czy żyje jeszcze. Buczyński też tak samo spod Wołkowyska. Paprocka była z Bielska, pani Paprocka z matką, z dwoma chłopakami. Jeden chłopak umarł. Był pan Muszyński właśnie sam jeden był starszy człowiek.

Mieczysław Dec: A jak miał na imię?

LD: Nie pamiętam. Dwóch synów miał, ale on nie z synami był, sam jeden, myśmy się tam nim trochę opiekowaliśmy. Buczyński z córką był, to gdzieś spod Wołkowyska. Tam trochę poznaliśmy się, ale dużo było nas. Jeryszkowie byli też z Bielska Podlaskiego, też nie żyją, z córką. Byli Kozłowie, Kozłowie też tylko tutaj, a syn zginął w Katyniu tego pana Kozłowa, tylko przyjął nazwisko Kozłowski. Jest na liście katyńskiej widziałam.

[00:15:00]

I córka żyje, ale córka nie była z nami, tylko ci rodzice. Tak może więcej w tej chwili to już nie powiem. Guzowscy, to jeden z Guzowskich poszedł do armii Andersa i zginął na Monte Cassino, jak byłam to widziałam jego mogiłę na Monte Cassino. Młody chłopak. A pani Guzowska jeszcze żyje. W Warszawie jest z córką.

W naszym posiołku zmarły trzy osoby. Jedno dziecko właśnie tej pani Paprockiej i pan Muszyński, tam jego zostawiliśmy. I jeszcze jedna osoba z Wołkowyska, także nie pamiętam nazwiska, ale co charakterystyczne, że w zimie to na przykład grób kopano nie nowy, tylko tam gdzie ostatnio był ktoś pochowany, bo lżej było kopać, bo tak to by trzeba było rozpalać jakieś ognisko, bo ziemia zamarza. I wtedy w tym miejscu także trumna na trumnie, to nie zawsze trumna była, jakieś tam takie nosze na tych noszach się spuszczało, także tak.

MD: Jak taki pogrzeb wyglądał? Czy był jakiś krzyż, nagrobek?

LH: Krzyż, tak. Tak, robiliśmy krzyż, bo drzewo mieliśmy, także krzyż był.

MD: Bez księdza.

LH: Bez księdza, tak. Sami szliśmy. Może właśnie do takich ciekawostek należy zakładanie ogródka, bo jak mieliśmy już swoją ziemiankę, to przy tej ziemi można było tam założyć ogródek warzywny. Co się sadziło? Sadziło się warzywa. Takie jak cebula, marchew, czy pietruszka, to zwyczajnie, ale ciekawe było właśnie sadzenie ogórków. Więc dla ogórków sporządzało się grządkę z gnoju. Wysoką grządkę z gnoju. I w tej grządce robiło się dziurę, jamkę taką dość dużą, także tam z pół wiadra ziemi szło do tej jamki i sadziło się ogórki. Znaczą nasionka ogórków, 3-4-5, tych nasionek. I taka grządka. Dlaczego to się robiło? Bo są przymrozki, dość długo jeszcze są przymrozki, myśmy przyjechali w kwietniu, to jeszcze leżał śnieg. I bywają jeszcze przymrozki, więc wtedy można jeżeli nawet wzejdą, to można czy gazetami, o gazety zresztą było trudno, ale jakimiś starymi łachami, czy tam czymś przykrywać to, żeby to nie zmarzło. Albo ognisko się paliło w którą stronę tam niesie wiatr, to ciepłe powietrze. I w ten sposób mieliśmy troszkę warzyw, może nie za dużo, ale warzyw. Poza tym jeździliśmy na baracholkę do tego, jeździliśmy – pieszo szliśmy do Pietropawłowska, żeby coś sprzedać z naszych ubrań, łachów, jakieś pończochy lepsze, to myśmy tych rzeczy nie nosili, tylko sprzedawaliśmy. A za to się kupowało dla dziecka szklankę cukru, czy coś tam dla tej małej Ewuni, żeby coś było.